



Nr 23.

Warszawa, dnia 24 Maja (5 Czerwca).

Rok 1875.

### NIE MOGE.

Leontynka była małą dziewczynką ale nadzwyczaj niespokojną. Przy czytaniu kręciła kartki książki i raz poraz przestępowała z nogi na nogę. Uczyła się także i szycia i robienia pończochy, ale co kilka ściegów wywlekała nitkę z igły, a gdy zdłubała parę oczek z pewnością drut upadł na ziemię.

— Ach! jaka to bieda z tą nitką i z drutem, zawołała już coś szósty raz zrobiwszy sobie tę psotę.

— Nie z niemi bieda, odrzekła Mama, ale z twoją niespokojnością. Przy pracy trzeba koniecznie tylko pracą być zajętą, o niej myśleć i nią się jedynie zaprzątać.

Nic to jednak nie poprawiało Leosii, i zawsze z jedną niespokojnością, zachowywała się przy książce i robocie, ale za to przy zabawie zapominała o wszystkim, a gdy ktoś chciał ją od niej oderwać, to się zawsze skrzywiła i szepnęła sobie pod nosem:

— Że też to mi nigdy nie dadzą spokojności.

— Żebyś to moja Leosiu, odrzekła jej raz Mama, przy pracy tak dbała o spokojność, to byłoby stokroć i lepiej i pożyteczniej dla ciebie.

— Kiedy Mateczko *nie moge*, odezwała się Leosia.

— Nigdy tak nie odpowiadaj: *nie moge*, bo wszystko co dobre i co zgadza się z rozumem może być

przez każdego dokonaniem. Tylko niedołęga odpowiada: *nie moge*.

— Więc mi moja Mateczko, bardzo trudno być inną.

— Tak co innego, może być coś trudnem do zrobienia, ale przy staraniu trudne z początku pomału staje się łatwem.

— A to jakim sposobem?

— Trzeba tylko chcieć i czuwać nad sobą aby zrobić to co się postanowi.

— Ale ja Mateczko chcę a nie mogę usiedzieć spokojnie.

— Bo nie czuwasz nad sobą i nie starasz się o spokojne siedzenie.

Leosia pokręciła głową, podskoczyła w górę i przybiegła do Mamy rzekła:

— Nie rozumiem Mateczko!

— To siadź przy mnie, odrzekła Mama, a opowiem ci rzecz bardzo ciekawą.

— Ach! to dobrze, ja tak lubię wszystko co ciekawe.

I Leosia rześko usiadła na krześle bez poręczy tuż przy stole i blisko Mamy aby mogła dobrze słyszeć co jej opowiadać będzie. Przytem ręce założyła jedną na drugiej i patrząc się w Mamę z uwagą, rzekła:

— Słucham Mateczko, słucham.

Mama przyjrzała się Leosii i widząc

ją spokojnie siedzącą rozpoczęła opowiadanie.

— Kiedy byłam taką małą jak ty, przyjaźniłam się bardzo z Fruzią równą mi wiekiem panienką. Była ona.....

— Już wiem, przerwała Leosia, była pewno taką



M. KLUCZEWSKI.

Mamusi jak się będę uczyła na fortepianie....

jak ja niespokojną.

— A któż to słyszał przerywać komu opowiadanie? To bardzo niegrzecznie.

— Ach! prawda, już to mi Mama nieraz mówiła.

— Jednak nie pamiętałaś przestrogi, nie byłaś więc baczną na siebie.

— Już teraz będę taką, odrzekła Leosia przybierając dawną postawę.

— Otóż była ona rzeczywiście taką jak ty roztrzepanicą, i zawsze mówiła: *nie mogę* być inną. I tak rosła, rosła, aż wreszcie wyrosła na dorosłą pannę i taką roztrzepanicę, że jak wychodziła z domu to zawsze czegoś zapomniiała, a wracając nigdy nie przyniosła wszystkiego co wzięła z sobą, tylko koniecznie musiała coś zgubić.

— To jak nasza Maryanna co zgubiła kalosz na ulicy. I rzekłszy to Leosia rozciągnęła ręce i uderzyła je z klapnięciem jedną o drugą.

— Widzisz Leosiu, znowu jesteś niespokojną.

— To tylko w rękach Mateczko.

— Czyż ręce nie do ciebie należą? Czyż ręce rządzą tobą nie ty rękami?

— Więc będę ręce trzymać przy sobie, żeby nie brykały, a Mameczkę przepraszam.

— Raz Fruzia, mówiła dalej Mama, kiedy już była dorosłą, przez roztrzepanie zostawiła w jakimś miejscu woreczek ze wszystkimi pieniędzmi, i ten zginął. Zmartwiła się tem bardzo, nawet splotkała....

— Mamusiul! przerwała Leosia, jak się będę uczyła na fortepianie, to tak będę grała że się wszyscy dziwić będą. I Leosia udała że przebiera rękami po klawiszach, i machnęła nogami jedną po drugiej podnosząc w górę.

— Przedewszystkiem, odezwała się Mama, na fortepianie nie gra się nogami tylko przebiera palcami.....

— Wiem Mateczko.

— A pocóżes nogami zamachała?

— Nie uważałam tego.

— Trzeba więc na wszystko uważać co się robi, i to jest właśnie bacność o której ci powiedziałam.

— Rozumiem Mateczko, ale cóż Fruzia, czy się bardzo zmartwiła zgubą pieniędzy?

— Powiedziałam ci już że nawet się splotkała, ale ty wtenczas myślałaś o fortepianie, więc nie uważałaś, a to jest niegrzecznie nie uważać gdy mówi Mama albo ktoś starszy.

— Prawda, prawda, jestem wielka roztrzepanica, odrzekła Leosia i za karę dała sobie klapsa w rękę.

— Ręka nie nic winna, tylko głowa że nie myśli o tem co mówią tylko zaprzęta się swojemi fraszkami.

— Więc fraszki wypędzę z myśli a tylko będę uważała na to co Mama mówi.

— Zobaczymy, odrzekła Mama z powątpiewaniem.

— Mama wątpi? Ale ja chcę tak zrobić więc zrobię bo mogę.

— Wiem że możesz, ale nie wiem czy dotrzymasz.

— Przekona się Mama, nie jestem przecie niedołęgą.

— Więc słuchaj co się dalej stało z Fruzią. Tych różnych strat i zgub było bardzo wiele, a że Fruzia nie miała wielkiego majątku, prędko więc tym sposobem roztrwoniała to co jej po Rodzicach zostało i zmuszona była przyjąć w dalekiej stronie obowiązki guwernantki. Ale wyjeżdżając zapomniiała wziąć z sobą torbeczki z pieniędzmi i paszportem i co gorzszego, że spostrzegła się dopiero o mil kilkadziesiąt od Warszawy w wielkim mieście w którym przez ni-

kogo nie była znaną, że jest bez grosza prawie i bez żadnych dowodów urzędowych.

— Ach! jakże ją żałuje, odezwała się Leosia i miała ochotę pomachać nogami i klasnąć w ręce, ale przypomniała sobie dane przyrzeczenie i zaraz się uspokoiła. Mama mówiła dalej:

— Przez roztrzepanie jednak, nie przypomniała sobie, że torbeczka została w komodzie, tylko była pewną że ją miała na sobie i że ją inni podróżni okradli. Narobiła więc krzyku, rwetesu, oskarżyła swoich sąsiadów, tych zrewidowano, obszukano w wagonie, a gdy wszystko było daremne, podróżni zaczęli krzyczeć i gniewać się na Fruzię, ta na nich, powstał zamęt, odgłoski, łajania, Fruzia płakała i łamała ręce, biegając, szukała a tak biegając gubiła tu chustkę, tam szal, tu rzuciła własną torbę, tam uchwyciła za cudzą, tu napadła na podróznego z podobną jej niby ukradzioną torbeczką, tam znów weisnęła się między kobiety żeby ją ratowały. Dość moje dziecko, że ta jej niespokojność, roztargnienie, to niezwykłe a tak rozpaczliwe postępowanie, zwróciło wszystkich uwagę i przypuszczono, że Fruzia nagle obłądu dostała.

— Ach! jakaż ona biedna! Wczoraj.... i nagle ucieła Leosia przypomniawszy sobie przyrzeczenie.

— Cóż wczoraj? zapytała Mama.

— To była fraszka moja Mamo, co mi przyszła do głowy, więc ją wypędziłam z myśli. I cóż dalej stało się z Fruzią?

— Łatwo się domyśleć. Przyaresztowano ją jako waryatkę i zawieziono do szpitala obłąkanych. Rzecz w dwa dni się wyjawiała, torbeczka zapomniiana odesłaną została ale przez dni dwa siedziała między waryatami i o mało na prawdę że nie zwaryowała. Wypadek ten tak przykry poprawił ją znacznie, ale nałóg roztrzepania choć się zmniejszył pozostał jednak nałogiem. Dziś Fruzia nieraz płacze na to i narzeka, lecz do poprawy dobry tylko jest wiek młody jak twój, w starszym zaś poprawa często bywa niepodobną.

— Ja też teraz starać się będę poprawić.

— Daj Boże żeby się to stało.

— Przecież wysłuchałam Mamy opowiadania spokojnie, chociaż z początku troszkę było inaczej.

— Prawda moje dziecko, odrzekła Mama, i tem bardzo rozradowałaś moje serce. Kto więc chce to może się poprawić?

— O może Mateczko, i teraz sama się przekonałam, że mówić *nie mogę*, to nieładnie..... aż się sama wstydzę za siebie.

## Prawo Starszych.

Z nałogiem starym oddawna w przymierzu,  
Swawolny Michaś, w pośród wielu osób,  
Podezas obiadu, w nader brzydki sposób,  
Zaczął swą łyżką bębnić po talerzu.  
Jednemu z gości ta dziwna zabawa,  
Jakoś do gustu wcale nie trafiła,  
Rzekł do Michasia: „Muzyka niemiła,  
Ostrzedz cię muszę.“

— Ej! nie ma nikt prawa  
Dawać mi nauk, — powie chłopak żwawo, —  
Nie jesteś pan mą Cicią, a ta mi pozwała. —  
— Mylisz się mój Michasiu, przerwie Ciotka zdala.  
„Każdy starszy złe dziecko upomnieć ma prawo.“

Laskarys.

## KOZIOŁEK.

Ignasia nazywano koziołkiem, bo jak tylko albo siostra, albo brat, albo nawet Ciocia co w nim zgaśniała, to nie odrzekł, tylko potrząsnął głową i swoje robił.

— Dziś jesteś tylko koziołkiem, ale jak wyrośniesz i nie poprawisz się, to będziesz kozłem z wielkimi rogami.

Ignas potrząsnął głową swoim zwyczajem i pobiegł do drugiego pokoju.

Jednego jednak dnia tak często głową kiwał, że wszyscy powiedzieli, że już przestał być koziołkiem a został starym kozłem. Ignas nie zważając na to, potrząsnął jeszcze raz głową i mruczając poszedł spać.

Na drugi dzień budzi się, chce się umyć, nie ma wody.

— Maryanno daj wody do mycia, woła na służącą.

Maryanna potrząsnęła głową i ani słowa nie odrzekła.

— Cóż to nie słyszysz?

Maryanna znowu kiwnęła głową i poszła do kuchni. Ignas z wielkim gniewem wybiegł z pokoju, ale do kogo się udał tylko ze skargą, czy to do siostry, brata, Cioei, Mamy lub Ojca, wszyscy nie mu nie odpowiadali, tylko potrząsali głową.

Ignas jak niepyszny poszedł do swego pokoiku, i zobaczywszy siostrę Malwinkę zapytał w połowie z płaczem:

— Malwinko, co wy ze mną dokazujecie?

Malwinka wstrząsnęła głową i nachyliła ją jakby chciała bodnąć.

— Moja Malwinko, odezwał się składając ręce, proszę cię powiedz co to się stało?

— Wszyscy przemieniliśmy się w kozłów, odrzekła. Tyś mój brat a synek Mamy i Ojca, to kiedyś ty kozioł to i my musimy być kozłami.

— Ach! mimowoli zawołał Ignas i zarumienił się z uszami.

— Może się to jednak odmienić, mówiła dalej Malwinka, bo Ojciec powiedział, że jeżeli przestaniesz być kozłem, to i my kozłami nie będziemy.

Ignas miał ochotę znowu potrząsnąć głową, ale się zmiarkował i rzekł:

— Przystanę być kozłem jak was kocham

— Pamiętaj!

## Pani Guzdralińska.

Rano już w domu wszyscy powstawali a Brygisia leżała jeszcze w łóżku i przeciągała się nie myśląc o wstaniu. Napomniana przez Mamę wysunęła się z pod kołdry i usiadła na krzeselku zarzucawszy na siebie spodniczkę.

— Dla czego się nie ubierasz, spytała Ciocia, i siedzisz tak beczynnie?

Brygisia sięgnęła po pończochy i trzewiki i zaczęła się im przyglądać, gładzić, składać i rozkładać ale o wdziwaniu ich ani pomyślała.

— Brygisiu, chodź na śniadanie, odezwała się Mama z drugiego pokoju, bo już jest przygotowane.

Brygisia szybko obuła się, ale gdy przyszło do mycia znowu zaczęła namyślać się i stała przy miednicy beczynnie.

— Brygisiu, co tam tak długo robisz, mleko ostygnie ci zupełnie—odezwała się znowu Mama.

Brygisia unyła się szybko, ale obcierała się tak długo, że znów Mama pośpiech przypomniada.

Z dalszym ubraniem tak samo było, że nim się Brygidka wyguzdrała wszyscy w domu już byli przy swoich zajęciach, a Nauczycielka się gniewała że Brygidka do nauki nie przychodzi.

Zjadła więc zimne mleko a Mama powiedziała, że jest panią Guzdralińską.

Od tego czasu tem nazwiskiem wszyscy Brygisię nazywali i tak się z niem oswojono, że nawet Brygisia przyzwyczała się do niego.

Ale raz nazwano ją tak przy Wuju który przyjechał ze wsi, i ten usłyszawszy to spojrzął na dziewczynkę, zrobił wielkie oczy, rozśmiał się i zawołał:

— To nie wiedziałem, że moja siostrzenica jest kuzynką bliską jednej z moich gęsi którą nazywają Guzdralińską, bo zawsze we wszystkim jest ostatnią, za stadem ostatnia idzie i ostatnia nawet przychodzi do jedzenia, na czem naturalnie źle bardzo wychodzi.

No, no, być krewną, gęsi to nie wielki zaszczyt.

Brygisia zarumieniła się z uszami, a gdy Wuj zapytał jeszcze, czy czasem do niej listu nie napisze, miała ochotę głośno się rozplakać, ale przytłumiła łzy i po chwili rzekła.

— Już nie będę więcej Guzdralińską, bo nie chcę być krewną gęsi.

— To się moja gaska bardzo zmartwi, rzekł Wuj z powagą, że się wypierasz pokrewieństwa.

— Ale się Mama ucieszy i Ojciec i Ciocia, i wszyscy w domu a i Wuj nawet choć mnie z gęsią spokrewnił.

— Tak moja Brygisiu, odrzekł Wuj, tylko nie zapomnij.

## Przechadzki z Nauczycielem.

### IV.

— Panie Nauczycielu, odezwał się Michałek przybiegając do niego, patrz pan jaki to kłos żyta dorodny, a co to w nim ziarna.

— A zkadże go wziąłeś, czy znalazłeś na drodze?

— Nie, zerwałem z tego polanka.

— Urwałeś? To niedobrze bo szkodę popełniłeś.

— Ej! jeden kłos co to znaczy!

— Wiele, bardzo wiele, bo z takich piętnastu kłosów ziarna zmielone na mąkę wystarczyłyby dla piekarza na jedną bułeczkę, gdyby więc jak was jest tu trzydzieści dzieci każde na przechadzce naszej urwało po kłosku, toby zmarnowało dwie bułeczki, a przez całe lato najmniej trzydzieści. Każde więc z was miałoby bułeczkę, a co ona warta wiecie to dobrze.

— Och! wiemy, wiemy! zawołały dzieci.

— Nie pomyślałem o tem, szepnął Michałek.

— To i o tem nie pomyślałeś, że gdyby tylko w naszym miasteczku wszyscy mieszkańcy tak psuli kłosa jak ty zepsułeś, to z tej psoty możnaby napełnić cały sklepik przekupki z chlebem i bułkami. Gdyby więc którego dnia zabrakło w sklepie chleba tobyś z głodu bardzo się krzywił.

— A krzywiłbym się, bo ja chlebuś bardzo lubię.

— A chlebuś moje dziecko to dar Boży, należy

go zatem szanować a nie niszczyć to z czego się wyrabia.

— Prawda, panie Nauczycielu, to też będę teraz uważniejszy, odrzekł Michałek, bo jakoś mi to nie przyszło do głowy.

— To źle, bo nad wszystkim co się ma zrobić, trzeba się wprzód zastanowić czy to komu przykrości lub szkody nie przyniesie.

W tem przybiegł Józio z Marynią i zawołał:

— Panie Nauczycielu, ja pierwszy przybiegłem do mety kiedyśmy się ścigali, bo już stałem za krzyżem kiedy Marynia rękę na nim położyła.

— Ja pierwsza proszę pana, bo on mnie odepchnął, odezwała się Marynia.

— Odepchnąłem boś mi zawadzała.

— Bom pierwsza była przed tobą.

— Cicho dzieci! odezwał się Nauczyciel, jak tam było to nie wiem, bo nie byłem przy was, ale to wiem, że odpychać i do tego dziewczynkę to bardzo nieładnie i niegrzecznie.

— Pocóż mi zawadził! — szepnął Józio.

— Ale to dziewczynka, słabsza od ciebie, delikatniejsza, nie ma twojej siły, więc trzeba być dla niej uprzejmym, grzecznym i wyrozumiałym, nawet delikatnym i zawsze we wszystkim ustąpić pierwszeństwa. Gdybym ja silniejszy znowu od ciebie zawsze cię we wszystkim odpychał, czy byłbyś z tego kontent?

Józio spuścił oczy.

— A zatem? spytał Nauczyciel i zatrzymał się na odpowiedź.

— A zatem, odrzekł Józio, źle zrobiłem, żem ją odepchnął i przepraszam ją za to.

— Kocham cię Józio, odezwał się Nauczyciel i pocałował go w czoło.

## ŚLONKA.

Ptak na załączonej rycinie przedstawiony jest rodzajem Bekasa, pod nazwą *Ślonki*, u nas pospolicie znany. Znakomity jednak nasz ornitolog hrabia Konstanty Tyzenhauz, w dziele swoim nazwał go *Ślonką*, opierając się na obyczajach ptaka i na nazwę jego w dawnym języku naszym. Jest to rzecz zupełnie słuszną, albowiem ani w ubarwieniu, ani w kształcie lub zwyczajach tego ptaka, nic nie ma coby pochodzenie nazwy jego od wyrazu *śloma* usprawiedliwiać mogło, gdy przeciwnie, od wyrazu *Ślonec* bardzo już stosownie może być nazwany: gdyż ptak ten dla swego słabego wzroku przez dzień cały w zaroślach się ukrywa, o wschodzie i zachodzie słońca tylko wylatuje, jakby unikając blasku gwiazdy dziennej.

*Bekas Ślonka* (*Scolopax rusticola*), należy do Rzędu *Podkasalych*, a do Rodzaju *Bekasów* (*Scolopax*), odznaczających się dziobem niezmiernie długim, albowiem trzy razy długość głowy wynoszącym; dziób ten zupełnie prosty, jest przytem pokryty w całej swej długości czułą skórką, co daje im możliwość

szukania pokarmu prawie po omacku, gdyż żywiąc się glistami i drobnymi robakami w gęstym błocie przebywającymi, długi swój dziób głęboko w błoto zanurzają, nawet w niedostatku robaków samo błoto wysysają. W ogóle wszystkie bekasy mają lot bystry, są u nas ptakami przelotnymi, wszystkie oprócz *Ślonki* żyją na błotach otwartych, cały dzień w trawach ukryte, a wieczorami i nocą z miejsca na miejsce przelatując. Pod jesień bardzo bywają tłuste, *oblane* jak mówią myśliwi. Wszystkie należą do najwyborniejszej zwierzyny i polowanie na nich ze strzelbą i wyżłem najulubieńszą rozrywką jest myśliwych. W naszym kraju gnieździ się cztery gatunki Bekasów a mianowicie: *Bekas Dubelt*, najtłuszcniejszy i najsmaczniejszy ze wszystkich; *Bekas Krzyk* tak nazwany od głosu który zrywając się zawsze wydaje, mający lot niezmiernie zwinny i bystry; i *Bekas mały* pospolicie *Ficklausem* nazywany, mający na grzbiecie piórka dłuższe pięknie zielono i purpurowo mieniące się. Francuzi ten gatunek nazywają *Bekasem głuchym* (*Bekassiné so-*



Ślonka.

*furde*) i bardzo słusznie, bo tak uporeczywie w trawie siedzi, że o mało nieraz nogą nastąpić się nie da. I nareszcie czwarty gatunek *Bekas Ślonka*, ze wszystkich największy, niemal kuropatwie dorównywający. Tamte trzy gatunki mieszkają na oparzelistych błotach, na łąkach wodą zalanych i tym podobnych wilgotnych odkrytych miejscach: *Ślonki* zaś przeciwnie, po lasach a nawet i na górach lasem porośniętych, w gęstych zaroślach. Znane są dobrze myśliwym tak zwane ciągi słońek na wiosnę i w jesieni: gdy wieczór zwłaszcza jest ciepły, myśliwi dążą do lasów i tam rozstawiają się wybrwszy sobie odkrytą polankę

lub jaką dolinę; natychmiast po zachodzie słońca, ile tylko słońce jest w lesie, wszystkie zrywają się do lotu i w tę lub w ową stronę przeciągają po nad drzewami. Zdaleka słychać już ciągnącą słońkę, po pewnym rodzaju jakby szeptu, przerywanego krótkim gwizdaniem. Wtedy lot jej równy jest i wolny, lecz gdy spostrzeże myśliwego natychmiast lot zmienia na bardzo szybki i nieregularny, aby uniknąć strzału, który wtedy rzeczywiście jest trudny; toż samo gdy słońki jedne za drugą się uganiają. To polowanie bardzo jest przyjemne, lecz trwa krótko, gdyż zmrok prędko zapada. Ubarwienia słońki rudo-czarniawe i białe plamiste, czerniawo pręgowane i upstrzone, skrzydła bardziej czerwono-rude, na głowie cztery przepaski czarne od dzioba wzdłuż idące; dziób i nogi cielisto-popielate; spód cały brudno białawy w poprzek ciemno pręgowany.

H. K.